

Gdyby żył w naszych czasach, pewnie używał by Tinder'a, ale kiedyś takich możliwości nie było, więc kobiety poznawał przez ogłoszenie matrymonialne w prasie.

Interesowały go te najbardziej bogate, owijał je sobie wokół palca, rozkochiwał, oszukiwał i okradał. Niestety jedna z nich nie wyszła z tego cała.

Przynajmniej jedna, bo ofiar mogło być więcej.

Śledczy analizowali niewyjaśnione sprawy próbując połączyć je z tym człowiekiem.

Mieli przepuszczenia, że może być seryjnym sprawcą. Mówiło się nawet o kilkudziesięciu przypadkach.

Żonobójca z Łazarza. Pod takim pseudonimem dziś znany jest Francisz Eklangę.

Poznajecie historię jednego z najsłynniejszych poznańskich przestępców, który mieszkał w Kamienicy przy ulicy Małeckiego 4.

To właśnie stąd, w 34 roku, chcąc pozbyć się dowodów, wyniósł u walizkę i to doprowadziło do jego zguby.

To temat, którym zajmiemy się dziś na Kryminatorium.

Na tym podkaście w każdy poniedziałek znajdziesz opowieść o innej sprawie kryminalnej.

Możesz mnie słuchać na Spotify, YouTube lub w aplikacji podcasty na swoim iPhoneie.

KREMINATORIUM

Otwieramy akta tajemnic.

Wraz z rozwojem kryminalistyki sukcesywnie zwiększały się szanse na wyjaśnienie coraz bardziej skomplikowanych kryminalnych zagadek.

Od samego początku istnienia policji największym zmartwieniem przestępców było skuteczne zacieranie śladów oraz zniszczenie dowodów.

Zwłaszcza takich, które bezpośrednio mogły się przyczynić najpierw do ich aresztowania, a później do wymierzenia sprawiedliwości.

Próbowało tego wielu z lepszym lub gorszym skutkiem.

Zdecydowanie najtrudniejsze zadanie stało przed zabójcami.

Zarówno autorzy poczytnych powieści detektywistycznych, jak i reporterzy opisujący w gazetach te najgłośniejsze sprawy kryminalne od zawsze byli zgodni w jednym.

Łatwo jest kogoś zabić, ale znacznie trudniej jest pozbyć się ciała. Ciężko o trafniejsze stwierdzenie.

Przecież to właśnie odnalezienie zwłok najczęściej prowadziło do schwytania zbrodniarzy.

Nic więc dziwnego, że zabójcy w pierwszej kolejności próbowali właśnie pozbyć się ciał osób, które zabili, a sposoby mieli przeróżne.

Można powiedzieć, że ograniczała ich w tym wyłącznie własna wyobraźnia.

Jedni topili ciała, drudzy zakopywali je głęboko pod ziemią, niektórzy próbowali rozpuścić je w kwasie.

Jeszcze inni palili.

Byli też tacy, którzy z wielką determinacją starali się poćwiartować zwłoki, które później ze względu na mniejsze rozmiar poszczególnych części łatwiej im było ukryć lub zniszczyć.

Tacy zbrodniarze w pierwszej kolejności starali się przede wszystkim usunąć te części ciała, w którym mogły posłużyć detektywą do identyfikacji.

Robili tak zwłaszcza ci zabójcy, którzy w jakiś sposób byli ze swoją ofiarą związani, np. więzami rodzinnymi.

Dłonie mogły przecież dostarczyć śledczym odcisków palców, a głowa posłużyć do odtworzenia wyglądu twarzy.

Nie mówiąc już o zębach, które można było porównać z dostępnymi kartami dentystycznymi. Obawy zbrodniarzy było jak najbardziej uzasadnione, bo nawet przed epoką DNA policja jakoś sobie radziła nie tylko z ustaleniem tożsamości, ale także z późniejszym powiązaniem ich ze sprawcami. A dziennikarze od zawsze widzieli w takich sprawach ogromny potencjał oraz szanse na zwiększenie sprzedaży gazet.

Nie inaczej było w sierpniu 34 roku, kiedy poznańskie dzienniki zaczęły się prześcigać w informowaniu swoich czytelników o makabrycznych szczegółach zbrodni popełnionej w stolicy Wielkopolski.

Nagłówki nie pozostawiały wtedy żadnych złudzeń.

Zdaniem ówczesnej prasy, nigdy wcześniej poznańscy policjanci nie mieli do czynienia ze zbrodniarzem tak okrutnym i tak cynicznym,

którego opinia publiczna zgodnie nazwała Poznańskim Londru.

Od samego początku plotki w tej sprawie mieszały się z faktami, a kłamstwa z prawdą.

A wszystko zaczęło się na stacji kolejowej w niewielkiej wsi pod Gnieznem.

Przyjechałem do Falkowa, aby na własne oczy zobaczyć miejsce, w którym rozgrywała się ta historia. 3 sierpnia 1934 roku, to był piątek, o godzinie 20.23 na peron tej stacji wjechał pociąg relacji Poznań-Gniezno.

Jak zwykle o tej porze nie wysiadło z niego zbyt wielu podróżnych, ale wśród nich byli 2 mężczyźni.

Swoim wyglądem i zachowaniem od razu wzbudziły niepokój funkcjonariusza Służby Kolei.

Obaj byli bardzo przyzwoicie ubrani.

Powiedziałbym nawet, że z pewną elegancją, która odróżniała ich od mieszkańców wsi, którzy razem z nimi wysiedli z pociągu.

Starszy z mężczyzn wyglądał na około 40 lat.

Ubrany był w jasne palto, a na głowie miał kapelusz.

Towarzyszą mu dużo młodszy od niego mężczyzna, około 20-letni.

Mieli ze sobą dwie duże walizki.

Jedną zostawili w dworcowej przechowalni bagażu, drugą zabrali ze sobą.

Mężczyźni szybko zniknęli z pola widzenia i szybko opuścili teren dworca.

Pół godziny później jeden z tych mężczyzn, ten wyraźnie starszy, wrócił tutaj.

Tym razem sam, bez charakterystycznej walizki, wszedł do środka do wnętrza budynku i poprosił o wydanie walizki, którą wcześniej tutaj zostawił.

Nie oglądając się za siebie, mężczyzna w jasnym palcie i kapeluszu

ruszył z walizką w rękę dokładnie w tym samym kierunku, w którym pół godziny wcześniej odszedł ze swoim młodszym towarzyszem.

Zwiadowca stacji, obserwujący znikającą w ciemności sylwetkę,

pomyślał sobie wtedy, że człowiek ten zachowywał się co najmniej dziwnie.

Przez następne 40 minut zarkał co chwilę w stronę, w którą odszedł nieznajomy.

Zastanawiał się, czy tajemniczy człowiek z walizką jeszcze wróci.

W pewnym momencie gdzieś w oddali dostrzegł lunę światła.

Doskonale wiedział, co oznaczał ten złowieszczy widok.

Na jednym z pół oddalonych od stacji kolejowej o 1, może 2 kilometry wybuchł ogromny pożar.

Odienie natychmiast zaalarmował mieszkańców wsi.

Ze wszystkich stron w kierunku płonącego pola zaczęli biec ludzie z wiadrami wypełnionymi wodą,

ci biegnący na przedzie już z dalszej odległości zauważyli, że obok płonącej sterty zboża krzątało się dwóch osobników. Nie próbowali oni jednak gasić pożaru, ale przeciwnie. Podsycali o dzień dorzucając do niego kolejne snopki zboża. Gdy pierwsi mieszkańcy wsi dobiegli na miejsce, dwóch podpalaczy nigdzie już nie było. Po przyjeździe straży pożarnej o dzień udało się opanować. Przeglądając po gorzelisko w celu oszacowania strat, w dopalającym się zbożu zauważono kilka dużych kości. Początkowo założono, że były to szczątki świni, która przypadkowo spłonęła. O tym, jak bardzo się pomylili, przekonali się, gdy tylko w pobliżu kości natknęli się na częściowo strawioną przez ogień dużą walizkę. Po jej otwarciu przerażonym mieszkańcom wsi ukazał się makabryczny widok. Zewnątrz walizy znajdowały się poćwiartowane, zakrwawione ludzkie zwłoki. Bez głowy, obu rąk i nóg. Bez wątplenia były to szczątki dorosłej kobiety. O tym znalezisku powiadomiono zawiadowcę stacji kolejowej, a ten telefonicznie przekazał wieści na komisariat policji w Gnieźnie. Pomimo późnej pory na miejsce natychmiast przybyli funkcjonariusze mundurowi oraz agenci śledczy z komisarzem Policji Państwowej na czele, który od razu wształ energiczne śledztwo. W tym samym czasie swoje własne śledztwo oprowadził dyżurny ruchu ze stacji w Fałkowie. Nie bez powodu uchodził w swoim środowisku za człowieka odznaczającego się niezwykłą przytomnością umysłu. Gromadząc uspyszano od mieszkańców informacje, szybko powiązał wszystkie fakty. Dwóch tajemniczych mężczyzn wysiadających z wieczornego pociągu na jego stacji. Duża waliska, którą mieli przy sobie. Kierunek, w którym się oddalili. Powrót starszego z nich po drugą walizkę. Ponowne odejście tego człowieka w tą samą stronę. No i niespodziewany pożar w miejscu, do którego niewątpliwie zmierzali elegancko ubrani pasażerowie. Tylko jeden wniosek przyszedł mu wtedy do głowy. To oni musieli być tymi podpalaczami. A jeśli ich waliska zawierała poćwiartowane szczątki kobiety, to byli oni dodatkowo ohydnyimi zbrodniarzami. A wzniecając pożar próbowali zniszczyć zwłoki będące dowodem ich zbrodni. Wynikami swego śledztwa podzielił się z policjantami. Na tym jednak nie poprzestał. Zawiadowca Sfałkowa tuż po rozmowie z agentami śledczymi niezwłocznie zaalarmował telefonicznie swoich odpowiedników z sąsiednich stacji w kierunku Poznania i Gniezna. Poleciał im zwrócić szczególną uwagę na opisanych przez siebie mężczyzn, których uznał za winnych wzniecenia pożaru, mającego zatrzeć ślady popełnionej przez nich wcześniej potwornej zbrodni. Podał przy tym ich wygląd oraz charakterystyczny ubiór. Nie minęły nawet dwie godziny, jak na stacji w Sfałkowie zadzwonił telefon. Dżurny ruchu ze stacji w sąsiedniej wsi Pieżyska poinformował swojego kolegę,

że do pomieszczenia poczekalni tamtejszego dworca weszło właśnie dwóch mężczyzn, których Rysopis zgadzał się z tym, który otrzymał wcześniej.

Dodał jednocześnie, że podczas zakupu biletów do Gniezna obaj zdradzali olbrzymie zdenerwowanie. Rozmówca wyraźnie dał przy tym do zrozumienia, że chcąc ich zatrzymać muszą działać szybko, bo pociąg, na który czekają lada moment, wiezie na peron.

Mężczyzna wiedział, że już nie zdąży uzgodnić dalszych działań z policją, dlatego sam wydał dalsze dyspozycje.

Kazał swojemu koledzy zachować ostrożność, zabronił mu zatrzymywać podejrzanych na własną rękę.

Zamiast tego, miał on wsiąść razem z nimi do pociągu do Gniezna i nie spuszczać z nich oka.

Po zakończonej rozmowie, zatelefonował na Gnieźnieński komisariat.

Powiadomił policjantów o całej akcji.

Podał też dokładną godzinę, o której mundurowi powinni spodziewać się podejrzanych na dworcu.

Po dojechaniu na miejsce, mężczyźni wysiedli z wagonu.

Nie zdając sobie sprawy, że są śledzeni przez pracownika kolei, spokojnym krokiem opuścili budynek dworca.

Tam już czekali na nich funkcjonariusze policji.

Po otrzymaniu dyskretnego znaku od dyżurnego ruchu spieszyli, że to właśnie ci dwaj odwaliski, policjanci przystąpili do aresztowania.

Mężczyźni byli tak zaskoczeni całą sytuacją, że przez dłuższy czas nie potrafili wyksztusić z siebie nawet słowa.

Odzyskali mowę dopiero po przewiezieniu ich na posterunek.

Starszy z mężczyzn przedstawił się wtedy jako Franciszek Lange, mieszkaniec Poznania i był stryjem młodszego z nich, Brunona.

Początkowo obaj do niczego się nie przyznawali.

Jednak przyciśnięty do muru przez gnieźnieńskich policjantów Franciszek w końcu wyjawiał przerażającą prawdę.

Tak, to on podpalił zborze na polu fałkowie.

Tak, znaleziona walizka była jego.

A szczątki znajdujące się w jej nadpalonym wnętrzu należały do jego żony, Maryi, którą zamordował.

Jestem na Poznańskim Łazarzu, stoję niedaleko kamienicy ulicy Małec 3-4, to właśnie tutaj wydarzyła się ta historia.

Tutaj Franciszek Lange wynajmował pokój razem ze swoją żoną i tutaj ją zabił. Jak przekonywał później, nie było to zbrodnia z premedytacją.

Thumaczył, że działał w afekcie, że pod wpływem awantury.

A zresztą, posłuchajcie jego wersji wydarzeń.

Ten opis znalazł się w tajnym detektywie.

Podczas małżeńskiej sprzeczki żona uderzyła go w twarz.

Ta panowawszy nad sobą uderzył ją krzesłem w głowę i zabił.

Bojąc się konsekwencji swojego czynu, zwłoki pociartował nożem i piłką.

Nogi i ręce oraz głowę spalił w piecu, w swoim mieszkaniu.

Krwawy kadłup zapakował do waliski i wieczorem wywiózł z bratankiem do fałkowa.

Podpalając startę z boża, próbował ukryć ślady swojej zbrodni.

Aby potwierdzić jego słowa, policjanci z Gniezna wysłali wiadomość telegraficzną do swoich kolegów z Poznania.

Ci z kolei zarządzili natychmiastową rewizję we wskazanym pokoju wynajmowanym przez małżeństwo langów.

Przeszukanie lokalu potwierdziło czarny scenariusz.

We wciąż ciepłym piecu znaleziono częściowo zwęglone ludzkie kości.

Następnego dnia Poznańskie Władze sądowno śledcze przeprowadziły drobiazgowo badania pokoju.

W szparach pomiędzy deskami podłogi oraz na piecu odkryto ślady krwi.

Wszystkie fragmenty ludzkich kości zabezpieczono do dalszych ekspertyz.

Podobnie jak znalezione na miejscu potencjalne narzędzia zbrodni, czyli duży nóż kuchenny oraz piłę do drewna.

Przeprowadzone w Zakładzie Medycyny Sądowej Badania potwierdziły, że zarówno kości wyjęte z pieca jak i szczątki z waliski należały do jednej osoby.

Choć nie dysponowano wtedy skutecznymi metodami identyfikacji, które znamy z czasów obecnych, śledczy nie mieli wątpliwości.

Ofiarą Franciszka była jego 36-letnia żona, Maria, co zresztą on sam potwierdził.

Następnego dnia w całym Poznaniu nie mówiło się o niczym innym.

Wszystkie miejscowe dzienniki rzuciły się na ten temat z niesłychaną gorliwością.

Prześcigając się w dostarczaniu swoim czytelnikom najbardziej wstrząsających szczegółów zbrodni, która zszokowała stolicę Wielkopolski.

A że potwierdzonych informacji wciąż było jak na lekarstwo, reporterzy postanowili posłużyć się swoją własną wyobraźnią.

W kolejnych dniach te sensacyjne doniesienia krzyczały z pierwszych stron takich gazet jak dziennik poznański, kurier poznański czy gazeta powszechna.

Poznaniacy z pragnieni sensacji wierzyli w każde opublikowane zdanie, które później pocztą pantoflową roznosiło się po całym mieście.

I tak oto zamordowana żona stała się kochanką. Do tego jedną z wielu. Bratanek Brunon stał się severynym.

Informowano, że sprawca miał wielu współników, a walizkę z poćwiartowanym ciałem spalił nie w stercie zboża, ale w drewnianej szopie stojącej na polu.

Zmienił się również motyw z małżeńskiej kłótni na małżeńską zazdrość.

Dodatkowo publikowano całkowicie wystaną z palca w wywiad z zabójcą i to przeprowadzone nie przez zawodowego reportera, ale przez policyjnego fotografa.

Wciąż dochodziły do nas najróżniejsze plotki i jako śledczy mieliśmy ogromne trudności z ich weryfikacją.

Dlatego postanowiliśmy szczegółowo prześledzić jego życie. Wtedy okazało się, że jego kryminalna przeszłość była bardzo bogata.

Podejrzany miał już na swoim koncie 9 wyroków sądowych na łączną karę 10 lat więzienia, którą zdążył on już w całości odsiedzieć.

Wraz z poznawaniem biografii aresztowanego mężczyzny, prawda o nim stawała się jeszcze bardziej wstrząsająca, niż wymyślane przez dziennikarzy rewelacje na jego temat.

Jedną z pierwszych potwierdzonych przez Policję Informacji był fakt, że aresztowany razem z nim Brunon nie był wcale jego bratankiem, ale rodzonym synem z pierwszego małżeństwa.

Później odkryto, że domniemane zabójca własnej żony nie miał wcale na imię Franciszek, ale Jan.

Uchodząc w Poznaniu Zaspokojnego i Porządnego Handlowca, Langę w roku 1911 poślubił Helenę Frankowską.

Wkrótce na świat przyszła ich córka, Valentyna. Rok później urodził się Brunon.

Jednak rola męża i ojca mu nie odpowiadała. Nie znosił obowiązków i ciężkiej pracy, ale kochał wolność oraz pieniądze.

Dlatego od początku trwania małżeństwa wyjeżdżał z domu pod byle pretekstem. Najczęściej w delegacje.

Jeździł wtedy po całej Polsce. W tym czasie okradał kogo tylko zdołał. Najczęściej za można stare panny.

Najpierw je w sobie rozkochiwał, obiecując małżeństwo. Później zniknął bez śladu. Zabierał ze sobą ich oszczędności.

W przerwach między kolejnymi romansami okradał wieść je kościoły, do których włamywał się pod osłoną noc. Do domu wracał rzadko, ale zawsze z wypchanym portfelem.

Helena o nic nie pytała. Źródło dochodów męża poznała dopiero wtedy, gdy po Jana przychodzili policjanci. W ciągu 20 lat 9 razy wylądował za kratkami.

W sumie przesiedział nieco ponad 10 lat. W więziennej celi czuł się niemal jak w domu. Podczas jego nieobecności Helena z dziećmi często zmieniała miejsce zamieszkania.

Głównie po to, aby uciec przed wsibskimi sąsiadami, którzy plotkowali o kryminalnym życiu jej męża. Gdy wyszedł z więzienia po raz ostatni, nie zamieszkał już ze swoją żoną. Czasami tylko pojawiał się u niej, aby wyżebrać trochę pieniędzy na przetrwanie.

Policja wciąż grzebała w jego przeszłości przesłuchując licznych świadków, jego licznych przestępstw.

Wkrótce do kradzieży wyłudzeń oraz oszustw śledczy dopisali fałszerstwo oraz bigamie.

We wrześniu 31 roku Langę ponownie się orzenuił. Niby nic wielkiego przecież nawet przed wojną pary się rozchodziły.

Jednak u Jana problem polegał na tym, że oświadczając się poznanej przez ogłoszenie matrymonialne Marii Gromadzińskiej z Gniezna, wciąż był żonaty.

Zamiast się rozwieść, postanowił ten fakt po prostu zataić, aby to sobie ułatwić z fałszową swoje dokumenty.

Wykorzystał w tym celu fakt, że jego rodzony brat, mieszkający w Australii Franciszek, zaginął. Ukrywając ten fakt, nie tylko przed członkami swojej własnej rodziny, ale także przed władzami, wyrobił sobie nowy dowód.

Już jako Franciszek Langę stanął po raz drugi na ślubnym kobiercu. Paraza mieszkała w Poznaniu. Śledczy próbowali dotrzeć do tej kobiety, ale nigdzie nie mogli jej znaleźć, podobnie jak jej najbliższa rodzina.

Okazało się, że kilka miesięcy po swoim ślubie, Maria przepadła bez śladu.

Policjanci uznali, że tylko jedna osoba mogła znać prawdę o miejscu jej pobytu, przebywający w poznańskim areszcie mąż.

Przyciśnięty Langę przyznał się do popełnienia bigami.

Twierdził jednak, że z zaginięciem drugiej żony nie miał nic wspólnego.

Potem, jak przyłapał ją na zdradzie, nie rozpaczał.

Zamiast tego namówił ją, aby sprzedała swoje mieszkanie razem z meblami, a następnie wyjechała ze swoim kochankiem do Belgii.

I jak zapewniał Jan, czyli Franciszek, tak też uczyniła, a on nigdy więcej jej nie widział.

Śledczy postanowili to sprawdzić. Wtedy odkryli, że niewierna żona nigdy nie przekroczyła polskiej granicy, przynajmniej oficjalnie.

Może więc uciekła przez zieloną granicę. O pomoc poproszono belgijską policję.

Ta wszczęła na terenie swojego kraju poszukiwania polki, ale z marnym skutkiem.

Po kobiecie, żywej lub martwej, nigdzie nie było jakiegokolwiek śladu.

Ustaliliśmy, że tuż po jej rzekomym wyjeździe Franciszek zameldował się zakopanem, gdzie spędził ponad miesiąc.

Świadkowie zapamiętali, że miał wówczas przy sobie ogromną ilość pieniędzy, które wydawał głównie na alkohol i damy lekkich obyczajów.

Wtedy zaczęliśmy się zastanawiać, czy aby przypadkiem nie mieliśmy do czynienia z łowcą posadków.

Z uporem maniaka policjanci studiowali wszystkie niewyjaśnione zaginięcia kobiet w Polsce.

Później doszły do tego sprawy tajemniczych zgonów młodych mężatek, oraz nigdy niewyjaśnione zabójstwa kobiet.

Bezpośrednich dowodów na udział Langego w badanych przypadkach oczywiście nie było.

Jednak w oczy śledczych rzuciła się zadziwiająca wręcz zbieżność.

Do wielu takich zdarzeń doszło w chwili, gdy w pobliżu mieszkał lub przebywał Lange.

W lutym 31 roku w Żabikowie pod Poznaniem odnaleziono zmasakrowane zwłoki Wandy Dudzia Kówny.

Sekcja wykazała, że sprawca postrzelił ją w głowę z rewolweru, a następnie, już po śmierci, zadał 28 ran ostrym narzędziem.

Policja wszczęła śledztwo, ale nigdy nie udało się ustalić tożsamości zabójcy.

Wkrótce wyszło najaw, że kilka tygodni przed śmiercią kobieta poznała pewnego urzędnika, który jednak zniknął jeszcze przed jej pogrzebem.

Po sprawdzeniu w biurze meldunkowym okazało się, że w tym czasie w Żabikowie mieszkała hele na Langę.

Zdaniem jej ówczesnych sąsiadów, jej mąż, Jan, często przyjeżdżał do niej w gościnę.

Plotkowano wtedy, że nie tyle przyjeżdżał do żony, co do swojej sekretnej kochanki, którą miała być Wanda.

On sam do tego romasu się przyznał, ale stanowczo zaprzeczył, że miał z jej zabójstwem cokolwiek wspólnego.

Jednak policjanci wiedzieli już wtedy swoje.

Tam, gdzie pojawiał się Lange, znikwały lub umierały młode mężadki.

Gniezno, Bydgoszcz, Toruń, Poznań, do tego wiele okolicznych wsi.

Zastanawiano się także, czy może on być dodatkowo poszukiwanym przez policję od ponad roku nieuchwytnym zabójcą kobiet z wileńszczyzny.

Liczba pasujących w przypadku szybko rosła, a śledczy zaczęli się zastanawiać, ile tak naprawdę ofiar mógł mieć na sumieniu aresztowany przez nich zabójca żony.

Sześć, osiem, kilkanaście, a może więcej.

Policyjne podejrzenia szybko przedostały się do prasy.

Już wkrótce o domniemanych zbrodniach Langego zaczęły pisać wszystkie poznańskie gazety.

Jak zwykle nie obyło się bez wyswsanych spalca rewelacji na temat krwawego zbrodniarza, który poprzez ogłoszenia matrymonialne wyszukiwał swoje ofiary.

Obiecując kobietom małżeństwo wyłudzał wszystkie ich oszczędności, a później z zimną krwią

mordował.

Choć prasa donosiła nawet o siedemdziesięciu zbrodniach Langego, policja zawęziła tę listę do niespełna dwudziestu.

Wytypowano ofiary dobrze sytuowane, które w chwili swojej śmierci posiadały znaczną gotówkę. Brano pod uwagę wyłącznie te kobiety, które swoich ostatnich narzeczonych poznały za pośrednictwem ogłoszeń matrymonialnych.

Niedługo później znikwały albo umierały.

Przepadały również ich oszczędności.

Sprawców nigdy nie ustalono, ale dziennikarze mieli już pewność, kto był tym poszukiwanym zabójcą.

Wkrótce Langę zaczął być w gazetach nazywany Poznańskim Londru, w nawiązaniu do zbrodni słynnego Francu z jego serienego zabójcy kobiet, któremu przypisano 11 zabójstw.

Ale czy Jan Langę, zwany także Franciszkiem,

rzeczywiście był wyrachowanym łowcom posagów, który mordował swoje żony lub narzeczone? Nie było na to dowodów.

A uliczne plotki to było stanowczo za mało, aby uznać go w innym.

Liczono na to, że poznanie szczegółów związanych z zabitą przez niego żoną pozwoli policji odkryć coś, co umożliwi przypisanie mu choć części zbrodni, o którego podejrzewano.

Przesłuchano więc wszystkich członków rodziny Mari, a także jej bliższych i dalszych znajomych.

Wtedy okazało się, że niemal wszyscy od razu poznali się na Franciszku.

Tylko zakochana w nim kobieta nie dostrzegła w tajemniczym mężczyźnie niczego złego. Choć pewnie bardziej pasowałoby tu stwierdzenie, że nie chciała tego dostrzec.

Maria poznała Langę go za pośrednictwem anonsu matrymonialnego pod koniec lutego.

Pracowała wtedy jako kucharka w domu państwa turnów w Poznaniu.

Wcześniej przez kilka lat służyła jako gospodyni w domu polskiego konsula w Kopenhadze.

Dzięki temu uzbierała sobie znaczną kwotę, którą zamierzała przeznaczyć na ułożenie sobie szczęśliwego życia.

Przedstawił jej się jako Franciszek, bogaty kawaler z Poznania, będący urzędnikiem wojewódzkim na państwowej posadzie.

Kobieta była nim oczarowana, gdy dwa miesiące później oświadczył się jej.

Bez wahania zgodziła się zostać jego żoną.

Langę często odwiedzał ją w pracę.

Pracodawcy Maria od samego początku czuli do niego niechęć.

Próbowali nawet ostrzegać swoją kucharkę przed tym podejrzany kawalerem, ale ona nie chciała nikogo słuchać.

Jeszcze przed ślubem jako narzeczony wyciągał od niej kolejne kwoty,

a zdobyte w ten sposób pieniądze wpłacał na swoją książkę oszczędnościową w PKO.

Zanim para stanęła na ślubnym kobiercu, wyłudził od niej blisko dwie trzecie uzbieranych oszczędności.

Małżeństwem zostali w czerwcu 34 roku.

Zupełnie nie przeszkodził w tym fakt, że miał on już wtedy dwie żony, z którymi nigdy się nie

rozwiódł.

Zamieszkali u jej rodziców, którzy także nie potrafili się przekonać do swojego zięcia.

Niedługo później, już jako mąż, poprosił Mario kolejny zastrzyk gotówki, potrzebny, jak twierdził, na rozkręcenie własnego interesu.

Kobieta oddała mu wtedy resztę pieniędzy.

Stwierdził, że to wciąż za mało, więc brakującą kwotę pożyczyła od własnej siostry.

Już dwa tygodnie po ślubie Langego widziano w Gdańsku oraz w Krakowie.

W każdym z tych miast bawił się w otoczeniu młodych kobiet, które przedstawiał jako swoje narzeczone.

Gdy 31 lipca wrócił do Poznania, zakomunikował Mario, że wynajął właśnie umeblowane pokój w mieszkaniu w kamienicy przy ulicy Małeckiego 4.

Następnego dnia małżonkowie wprowadzili się do swojego nowego gniazdka.

Małżeńskie szczęście nie trwało zbyt długo.

Według zeznań podejrzanego już trzy dni później doszło między nimi do ostrej awantury, zakończonej w tragiczny sposób.

Uderzona krzesłem kobieta poniosła śmierć na miejscu.

Małż twierdził, że nie chciał pozbawić życia swojej żony.

Jednak przeprowadzona sekcja z Włoku z Marwej dowiodła, że prawda wyglądała zupełnie inaczej.

Lekarz jako bezpośrednią przyczynę śmierci Mario wskazał o trucie z trychniną.

Nie ulegało wątpliwości, że trucizna została podana ofierze jak najbardziej umyślnie przez drugą osobę.

A co za tym idzie, jak napisano w tajnym detektywie w celach czysto zbrodniczych?

Według śledczych motywem tego zabójstwa była wyłącznie chęć męża pozbycia się swojej żony.

Za prawdopodobny powód uznano, że Maria po oddaniu mu wszystkich oszczędności stała się dla niego całkowicie bezwartościowa.

Dodatkowo stanowiła wyraźną przeszkodę w jego procederze wyłudzenia pieniędzy od samotnych kobiet, szukających swojej drugiej połówki.

Czy oprócz jego syna z pierwszego małżeństwa ktoś jeszcze pomagał mu w tej zbrodni?

Śledczy uznali, że było to bardzo prawdopodobne. Z tego powodu aresztowano jego pierwszą żonę oraz ich córkę.

Policjanci nie wierzyli, że kobiety mogły nie wiedzieć, z czego żył Langę i jakich przestępstw się dopuścił.

Tym bardziej, że jak wykazało dalsze śledztwo Helena Langę tuż po aresztowaniu swojego męża zniszczyła wszystkie posiadane dokumenty,

które mogły łączyć ją z potencjalnym zabójcą Maria. Nie było jednak dowodów na tyle mocnych, aby prokuratura mogła sporządzić akt oskarżenia.

Dlatego obie kobiety zwolniono z aresztu po kilku dość intensywnych przesłuchaniach.

Jana Langego oskarżono o zabójstwo z premedytacją swojej żony Maria, którą otrół z trychniną.

Dodatkowo usłyszał on zarzut zbeszczeszczenia jej zwłok oraz próbę zatuszowania swoich zbrodni poprzez wywołanie pożaru.

Poza tym oskarżono go również o bezprawne zawarcie małżeństwa. Jego syn Brunon miał stanąć przed sądem za pomoc ojców w tuszowaniu zbrodni.

Choć prokuratura robiła co mogła, aby powiązać Langego z innymi zabójstwami, ostatecznie śledczym nie udało się znaleźć wystarczających dowodów jego udziału w tych zbrodniach.

Ale nawet za zabójstwo tylko jednej kobiety, w przedwojennej Polsce i tak groziła mu kara śmierci. Proces rozpoczęty 11 grudnia 1934 roku natychmiast stał się głośnym wydarzeniem medialnym. To w samym Poznaniu skąd pochodził oskarżony, ale i w całej Polsce. Dziennikarze z najpoczytniejszych gazet rywalizowali ze sobą o zdobycie miejscówek na sale rozpraw w Poznańskim Sądzie.

Prokurator powołał 26 świadków, w tym wiele kobiet, którym zbrodniarz najpierw obiecał małżeństwo, a później zamiast ofiarowanie obrączki pozbawiał je wszystkich oszczędności. Uwczesna prasa nie miała skrupułów w publikowaniu na swoich łamach nie tylko nazwisk wszystkich poszkodowanych przez langego kobiet, ale także w podawaniu ich adresu w zamieszkanie. W obecnych czasach RODO wydawać się to może nieprawdopodobne, ale przedwojenna rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej niż dzisiaj.

Obrońcy z Urzędu nie mieli praktycznie żadnych asów w rękawie. Nie znaleźli nikogo, kto mógłby wypowiedzieć się przed sądem pozytywnie o ich kłięcie.

Ich jedyną szansą było wykazanie, że oskarżony był osobą chorą psychicznie, która w chwili popełnienia zbrodni nie zdawała sobie sprawy z faktu, że popełnia czyn zabroniony.

Te próby zostały jednak skutecznie storpedowane przez biegłych lekarzy, którzy wykazali, że langę był jak najbardziej poczytalny.

Jan langę przez całą rozprawę zachowywał się w sposób niezwykle arogancki. Przerzywał świadkom, nazywając ich kłamcami.

Kłócił się z cędziami, czasami parskając śmiechem, pokręcając głową z wyraźną desaprobacją.

Zebrany materiał dowodowy był tak przekonujący, że cały proces trwał zaledwie dwa dni. 12 grudnia 34 roku m.in. w Kurierze Poznańskim

poinformowano opinię publiczną o wyroku, wydane przez Sąd Okręgowy w Poznaniu.

O godzinie 11.30 w nocy Sąd ogłosił wyrok i skazał Langę za zamordowanie żony na kary śmierci, za bigamie na dwa lata więzienia,

za wywołanie pożarów w fałkowie na jeden rok więzienia, sprowadzając te wszystkie kary do kary łącznej w postaci kary śmierci poprzez powieszenie.

Równocześnie Sąd zarządził utratę na zawsze wszelkich praw obywatelskich.

Jego syn także został uznany w innym zarzucanego mu czynu, czyli pomocy ojców w tuszowaniu zbrodni.

Brunon Langę został skazany na półtora roku po zbawienia wolności. Ich dalsze losy pozostają nieznane.

Po pewnym czasie prasa przestała interesować się z kazańcami.

Nie wiadomo, czy Brunon odbył swoją karę w całości, czy może więzienne mury opuścił nieco wcześniej.

Nie jest nawet pewne, czy polskie władze wykonały zasądzony wyrok śmierci na jego ojcu.

Co prawda portal Głos Wielkopolski podaje na swoich łamach, że Langę szczęśliwie uniknął stryczka, ponieważ na moce Amnesty z 35 roku zamieniono mu karę śmierci na dożywotnie więzienie, ale autor tego artykułu nie podaje niestety źródła tej informacji. Czy jest to zatem wiarygodna wiadomość?

Z ustaleniem tego może być mały kłopot, ponieważ w podanym przez autora roku władze II Rzeczypospolitej nie ogłosiły żadnej Amnesty dla więźniów.

Najbliższa miało miejsce dopiero 2 stycznia 36 roku i rzeczywiście objęła więźniów wskazanych na karę śmierci.

Czy faktycznie był wśród nich Jan Langę? Nie wiadomo. Wczesne źródła na ten temat głucho milczą. Tak czy inaczej, wszystko to, co działo się w tej sprawie już po wydaniu skazujących wyroków, pozostaje, jak na razie, tajemnicą.

Źródła wykorzystane do stworzenia materiału. Artykuły opublikowane w kurierze poznańskim od sierpnia do grudnia 1934 roku.

Artykuły opublikowane w dzienniku poznańskim w sierpniu i we wrześniu 1934 roku.

Artykuły opublikowane w gazecie powszechnej w sierpniu 1934 roku.

Seria artykułów opublikowanych w tygodniku Tajny Detektyw w sierpniu 1934 roku.

Artykuł Zbyszka Snusza zatytułowany Żonobójca z Łazarza bezwzględny i okrutny psychopata.

Opublikowany na portalu Głos Wielkopolski 17 września 2022 roku.